

POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCYZYŃNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE TWOPENCE

Wychodzi co tydzień.

Dnia 15-go listopada 1941r.

Rok III. Nr. 46

W ROK PO "BATTLE OF BRITAIN"

Było to po wrześniu. Garstka polskich pilotów, stojąc na górnym pokładzie małego greckiego statku, patrzyła z ciekawością na skały przesuwającej się w mgłach porannych wyspy Pantelarii. Właśnie olbrzymia tarcza słoneczna wypłynęła ponad horyzont. Jednak nie nabrała pełnego blasku, lecz przyswiewała ponuro, obłana ciemną czerwienią. Toteż skały wyspy, wychylające się z poza zasłon mgły, były—wydawało się—zbudowane z krwi zeschniętej i martwego mięsa. Od nich morze zaciekało krwawo, przechodząc miejscami w brudną purpurę. Nawet wyszumy krótkiej, rwanej fali, przypominały różową pianę na ustach człowieka, któremu kula przewierciła płuca.

Widok był niesamowity, więcej — przerażający jednostajnością posępnej barwy. Oto świat mórz i wysp skapany w oparach krwi. Mimo woli przychodziły na myśl inne, jakże niedawno oglądane czerwienie. Czyż ta, w samym sercu *Mediterraneum*, nie była siostrą rdzawych poranków i nocnych pożarów zadymionego księżycy w czasie Wielkiej Posuchy 1939, zaklętej ówczas nad całą Polską?

W czasie oczekiwania na statek, gdy między jednym wyspiem muezyna a drugim, siedziało się na cyplu skały niedaleko małego miasteczka w południowej Dobrudży, gdy wzrok wędrował po niegościnnych odmetach Czarnego Morza—miało się dużo czasu do dyskusji. Toteż dyskutowano zawzięcie, lecz temat był zawsze ten sam, wojna, klęska, jej przyczyny. Jeden z domorosłych magów (tych nigdy i nigdzie nie brakuje), tłumaczył niesamowitą sprawę owej łące piekielnej pogody, która wysłała rzeki i strumienie, zmeliowała wszelkie zapory bagienne, rozwiesiła zaślony dymowe wapiennego kurzu po drogach i polach, otwierając czołgom wszystkie ścieżki do serca Polski. Mówił, że według starej, indyjskiej ponoć legendy, przed każdą wojną opada na glob ziemski coś, jakby mgła czerwona. Ona to właśnie, oddech złych planet, podsyca w sercach ludzkich zwierzęce pragnienia mordu i pożogi. Ukazuje się na słońcu, na księżycu, na gwiazdach. Czasem towarzyszą jej inne dziwaczne zjawiska: plomienne krzyże, jaskrawe komety, zaburzenia meteorologiczne, burze i trzęsienia ziemi.

Można było wierzyć lub nie wierzyć, lecz w każdym razie było to tłumaczenie tego, jakby nadprzyrodzonego zjawiska pamiętnego lata przedwojennego. Było może szukanie nadprzyrodzonych przyczyn dla tłumaczenia wielu innych zjawisk, wielu nasuwających się wątpliwości, wielu dziwnych faktów.

Klęska i tragiczny koniec, lecz z nim budząca się nadzieja nowych zmagani, tym razem zwycięskich. Więc ucieszcza z pod strażi obcych żandarmów, by dotrzeć na zachód do nowo tworzącej się armii. Tymczasem już tutaj, na tej nowej wolności żołnierskiej, znów krew, czerwień, rdza przeklęta? Czyżby znów zły omen i złowieszce proroctwo?

Jednak na twarzach patrzących nie było ani przerażenia ani trwogi. Pojawił się natomiast wyraz inny, bardzo trudny do określenia, gdyż niespotykany codziennie. Zmęczone, zaczerwienione od niedospanych nocy, mocno błyszczące od gorączki oczy spoglądały na groźne zjawisko raczej jakby obojętnie. Mógłby to ktoś tłumaczyć obojęt-

nością straceńców, albo smętną rezygnacją ciała, czy dusz sparaliżowanych nadludzką tragedią. Był to jednak tylko spokój. Spokój świadomych ostatecznego rozwiązania.

Czytając teksty *Missale Romanum*, znajdujemy po *Agnus Dei* jedną z najbardziej tajemniczych, lecz i najbardziej doniosłych modlitw tej księgi, rozpoczynającą się od słów: "Któryś rzeki apostołom swoim—pokój Swój daję wam, pokój Swój zostawiam wam...". Jest to mowa o pokoju "jakiego nie daje świat." Jest to mowa o pokoju, który trwał w sercach wierzących, wśród trzasku i szumu płomieni palącego się Rzymu, wśród mordów i prześladowań na arenach cyrkowych, a później, na przestrzeni wieków, wśród zawieruchy wędrowek narodów, przy gromach zapadających się królestw, przy ciągłym tętentem kopyt trzech jeźdźców Apokalipsy.

W rok później ciż sami piloci, których widzieliśmy na Morzu Śródziemnym, wspólnie ze swymi brytyjskimi kolegami wygrali pierwszą bitwę o świat przyszłego lepszego porządku.

Znane są dziś każdemu prawie statystyki sił mierzących się wówczas na ziemi, morzu i powietrzu. Nie zaszkodzi jednak ich sobie przypomnieć. Gdy oddziały wojska polskiego w postanowieniu walki aż do końca, przybyły na Wyspy Brytyjskie—sytuacja militarna tych wysp była, zdawało by się, beznadziejna. Toteż niejednym z materialistów odzywał się z krakaniem: *nec Hercules!* Rzeczywiście brytyjska armia lądowa była właściwie rozbrojona. Straciła prawie wszystkie czołgi, działa, samochody. Wszystkie prawie karabiny maszynowe i broń przeciwpancerną. Ba! W tym czasie nawet zwykłych karabinów brakowało.

Lotnictwo, które poprzednio musiało wziąć na siebie cały ciężar walki na kontynencie, gdyż francuskie działa bardzo słabo, było teraz prawie żadne w porównaniu z lotnictwem wroga. Trochę dywizjonów myśliwskich, a bombowców tyle co nic. Pozostawała marynarka. Ona jednak choć silna liczebnie, osłabiona została także odstąpieniem Francji od walki. Została od razu obciążona nadmiarem koniecznością kontroli wielu mórz i wielu oceanów.

Spoleczeństwo w zasadzie nie było dobrożone duchowo. Na skutek nagłego kataklizmu sąsiada znalazło się w pierwszej linii

bojowej z dnia na dzień, jeszcze wczoraj siedzące na niedosiężnych nawet dla lotnictwa tyłach. Było półprzytomne, nie rozumiejące rozmiarów klęski i zbyt zaskoczony, by rozumieć.

Tymczasem wróg był gotów. Sto mil od stolicy Imperium Brytyjskiego gotowe do ataku stanęły jego żelazne kadry. Droga na wyspę dla czołgów i piechoty przez skrawek wody, nie szerszy od trzydziestu mil miało otworzyć karne i liczne lotnictwo. Ruszyli więc sznury maszyn, całymi milami porzrucane na niebie.

Przeciwko tej szarańczy rzuciły się pojedyncze klucze brytyjskie i polskie. Rozpoczęły się masowe walki, owe kotłowacizny powietrzne, o których wspomina w swych pamiętnikach Richthofen, mówiąc, że "wielu w nich bierze udział, lecz mało kto z życiem wychodzi". Wbrew wszelkiemu rozsądkowi, wbrew zdaniu Bismarcka, że Bóg jest po stronie liczniejszych batalionów, mimo, że stosunek obrony do ataku przekraczał często jeden do dziesięciu—zyciężyła garstka kilkuset przeciwko dziesiątkom tysięcy.

Jak to się stało? Przypisuje się zwycięstwo wyższości sprzętu i wyszkolenia brytyjskiego, mówi się o lepszych kwalifikacjach brytyjskich pilotów, wreszcie o ich lepszej taktyce. Takie wyjaśnienie wcale nie jest wystarczające. W badaniu tego zdumiewającego zwycięstwa sięgnąć trzeba znacznie głębiej, poza materialne przyczyny. Leżą one w istocie ducha człowieka, w tych tajemniczych czeluściach jego konstrukcji, na których złe i dobre nie zlewa się jeszcze w jedno niepewną, lecz jest rozgraniczoną granicą bezwzględna i uchwytna. Mówi o tym Ewangelia, czytana co dzień na zakończenie mszy, wspominając o tej "światłości prawdziwej, która oświeca każdego człowieka na ten świat przychodzącego." I w późniejszych latach, także przez twardą opokę naszej natury osłabionej nadużyciem wolnej woli przez zakamarki naszych słabości i gorzkich błędów, przebiega czasem jej promyk. Dzieje się to w chwilach ostatecznego niebezpieczeństwa. Wtedy człowiek, choćby nieodwołalnie stracony, odzyskuje równowagę i spokój, jeżeli... jeżeli droga, na której się znajduje, jest drogą sprawiedliwą.

Genialny prestidigitator dusz Nowego Świata, Franklin Roosevelt nazwał Polskę "natchnieniem narodów." Może miał na

myśli fakt, że Polacy wzięli w zwycięstwie tej najdonioślejszej z bitew świata znacznie większy udział, niż to wydawać by się mogło temu, który tylko sumuje wystrzelone kule. W 1939 roku Polska występując do walki z przerażającą siłą przeciwnika, do walki, której wynik był niewątpliwym, kierowana była ową nadświadomością istotnych prawd tego świata, nieuchwytnych materialną cyfrą. Żołnierz polski walczył nawet wtedy, gdy już wszystko przepadło, był pewien, że istnieje ów porządek nadprzyrodzony, wyrażający się w absolutnej sprawiedliwości. Sprawiedliwość dla Polski—to przecież zwycięstwo prędzej czy później. To przekonanie i ta nadświadomość polskie oddziały lądowe, powietrzne i morskie przywoływały z sobą na ziemię angielską. To był nasz największy, najbardziej cenny udział w wojnie "między dobrem a złem," jak słusznie ją określił Lord Halifax.

Jeden z amerykańskich dziennikarzy, Craig Thompson, charakteryzując naszych lotników w artykule "Poland's Avenging Eagles" powiada: "They are demonic fighters, because their lives have lost practically all spiritual values, except hatred and thirst for vengeance against Hitler's Luftwaffe. They have lost their families, homes, country. Death is to them unimportant as long as in dying they are able to deal a blow at the cause of their tragedy."

Nie sądzę, by ten obraz polskiego pilota odpowiadał prawdzie. Polscy lotnicy nie są "desperados" z Bractwa Wybrzeży czy Związku Piratów i Flibustierów. Rzeczywiście życie nie przedstawia dla nich żadnej wartości, lecz jedynie w porównaniu z wartością nadrzędną: zwycięstwa ostatecznego. Lubią się i teraz bawić jak inni, lubią i popić i wcale nie są niewrażliwi na wdzięki kobiece. Lecz ich walka nieustępliwa, walka bezwzględna i do ostatniego bynajmniej nie rodzi się z ducha potrzaskanego do reszty, palającego chęcią zemsty, pożaru, zabijania, mordowni, póki się samemu nie zginie, lub choćby ze źródła może romantycznych, ale jakże w gruncie rzeczy taniutkich tragedii, osobistych tragedii.

Nie, ów duch rodzi się ze znajomości największej tajemnicy wszelkiego zwycięstwa, że gdy raz się walczy, należy walczyć zarówno ciałem, jak i

duchem, zarówno mózgiem jak i muskułami, poświęcić się walce bez reszty, bez zastrzeżeń, rozplwać się w walce, tracić duszę—by ją zyskać.

Świetnie rozumieją to Niemcy, żołnierze doskonali, głębocy analitycy walki, wiedzą, że od zaprzędania się w walce—zależy zwycięstwo. Usiłują więc takiego właśnie ducha wnieść w swych eskadrach wszelkimi sposobami: wywołaniem sztucznej wiary w niepokonalność Hitlera, wywołaniem uczucia nienawiści /*Kinder! Lernet hassen!**, a nawet środkami podniecającymi, gdy duchowe zastrzyki zawiodą.

Lotnikom naszym nie potrzeba sztucznych podnieć, ich wiara opiera się pewnie na owej świadomości, która uchyla obawę załamania się wobec nadprzyrodzonych zjawisk, czy wobec gróźb konkretnej przemocy.

Teraz spojrzmy oczyma krytycznymi na naszych aliantów—Brytyjczyków, z którymi związaaliśmy się świadomie na "śmierć i życie." W naturze brytyjskiej leży dokładność w wypełnianiu wziętego na się obowiązku. Wielowiekowe przygotowania młodych pokoleń do "fair play'u" zarówno na terenie sportu, czy zawodu, czy nawet prywatnej "hobby"—wyrobiło w nich ducha bojowników zarówno nieustraszonych, jak i oddających się walce bez żadnych koncesji, całkowicie. Przy innych pobudkach—wynik ten sam.

I na tym polu zeszyli się charaktery dwóch, do niedawna tak dalekich sobie duchowo narodów. I teraz przyszło niespostrzeżenie do wzajemnej wymiany wartości duchowych: solidności w wykonywaniu dla Polaków, duchowej zaciekłości walki dla Brytyjczyków. Gdyż najdoskonalsza moc ducha nie znajdzie formy uzewnętrznienia bez doskonałości rytuału, gdyż nawet mistrzowskie rzemiosło nie jest znakomite bez geniuszu ducha. Tak umocniło się w duszach obu narodów przekonanie o wyższym porządku świata, któremu na imię sprawiedliwość absolutna.

Tym wartościom Niemcy nie mogli przeciwstawić niczego prócz olbrzymiej liczby maszyn prowadzonych przez opętanych lub narkomanów, prócz krzyków Goebbelsa i grózb Hitlera.

Oto przyczyny zwycięstwa w *Battle of Britain*.

Patrząc na to z rocznej perspektywy mimowoli wylania się obawa, by nie stracić żadnych z wartości opłaconych krwią, tak obficie przelaną. Myślimy tu tylko o Polakach. Nie tylko o lotnikach, ale o wszystkich żołnierzach i całej emigracji.

Niewątpliwie w chwili wstępowania na wyspy brytyjskie łączył nas ów *common sense* wyższego rzędu, ciągła myśl o ostatecznym zwycięstwie. Wynieśliśmy ją z gąsienicy ziemi zachowanej w woreczku, podjętej w chwili przekraczania granicy. Z nią powinniśmy nie tylko wrócić, lecz nim wrócimy—wygrać jeszcze wiele bitew, może nawet cięższych i krwawszych od *Battle of Britain*, które wymagać będą znów poświęcenia duszy i ciała jednej sprawie. Tych bitew nie unikniemy ani tu ani na kontynencie.

O tym tylko nieustannie myśleć trzeba: o walce i o zwycięstwie. O niczym innym.

Adam Sterbała

*"Dzieci, uczcie się nienawidzić"—z mowy majora niemieckiego do wychowanków-kadetów.

"BATTLE OF BRITAIN" W CYFRACH.

| Faza bitwy | Cele ataków npl. | Ilość ataków npl. | Ogólna ilość straconych samolotów npl. | Ilość sam. npl. straconych przez Polaków | Ilość strat własnych (w nawiasie ilość pilotów uratowanych) |
|---|--|--|--|--|---|
| 8.VIII.-18.VIII. | Konwoje i miasta portowe | 26 | 697 | 24 | 153 (60) |
| 18.VIII.-23.VIII. | Loty rekonesansowe i bombardujące pojedynczych samolotów | — | 39 | — | 10 (6) |
| 24.VIII.-5.IX. | Lotniska | 35 | 562 | 34 | 219 (132) |
| 6.IX.-5.X. | Londyn i ośrodki przemysłowe | 38 | 883 | 137 | niepodane |
| 15.IX. niedziela, krytyczny dzień bitwy | Londyn | 500 samolotów np. atakowało w dwu falach | 185 | 18 | 25 (14) |

W czasie od 8.VIII.—5.IX lotnictwo brytyjskie wykonało 4.523 loty bojowe za dnia w czasie od 8.IX.—31.X lotnictwo brytyjskie dokonało 6.077 lotów bojowych za dnia: razem 10.600

Dane ogólne są zestawione według broszury "The Battle of Britain," wydanej przez brytyjskie Ministerstwo Informacji i Lotnictwa, 1941 r.

Dane dotyczące lotnictwa polskiego pochodzą z dokumentów dostarczonych przez Dowództwo Lotnictwa Myśliwskiego R.A.F. (Headquarters Fighter Command).

Wojsko Polskie na Bliskim Wschodzie

III.*

Brygada bardzo uroczysto obchodziła święto "Żołnierza Polskiego" w dniu 15. sierpnia 1940 r.

Uroczystość rozpoczęła msza polowa, odprawiona przy zniczach, zapalonych ogniem z wieczystej lampy Grobu Świętego. Przeniosły ten ogień z Bazyliki Jerozolimskiej rozstawne sztafety pochodniowe żołnierzy polskich.

Było to pierwsze wystąpienie wojska polskiego publicznie, t.j. wobec szerokiego społeczeństwa palestyńskiego, w obecności wysokiego komisarza angielskiego i szeregu najwyższych dostojników wojskowych, rządowych, arabskich i żydowskich. Defilada, pokazy wojskowe i rozgrywki sportowe wypadły doskonale. Żołnierz polski zyskał sobie wielkie uznanie i sympatię swoją wzorową postawą, sprawnością i wyszkoleniem. W dniu tym dowódca brygady usłyszał wiele miłych słów pod adresem swych żołnierzy.

Na obiedzie żołnierskim przypadł nam zaszczyt gościć lotników angielskich z *group captainem* na czele. Dało to okazję do zbliżenia się, do zadzierzgnięcia serdecznych nici sympatii. Na rewanżowym przyjęciu w kasynie lotniczym oba zespoły oficerskie, angielski i polski, tworzyły już harmonijną jedność lotniczą.

W dniu rozpoczęcia kursu lotniczego zawezwano mnie niespodzianie do Kwatery Głównej, gdzie dowiedziałem się, iż na mocy decyzji otrzymanych z Londynu, przez Kairo, lotnicy polscy wyjadą do Anglii. Polecono mi zarządzić alarm oddziału lotniczego i trzymać go w stanie stałego pogotowia marszowego. Data i godzina odjazdu trzymane były w ścisłej tajemnicy, wiadome jedynie było, że wyjedziemy do Egiptu koleją, a tam w jednym z portów załadują nas

* Por. nr. 44 i 45 "Polski Walczącej" z b.r. Niniejszy artykuł zamyka cykl.

na okręt, którym odpłyniemy do Anglii.

Wiesz ta rozniosła się lotem błyskawicy po obozie, co miało ten skutek, że nie mogłem się opędzić przed całymi gromadami żołnierzy napraszających się, aby ich przyłączył do oddziału lotniczego. Nic nie pomogły moje tłumaczenia, że do Anglii mogą

jechać tylko prawdziwi lotnicy, albowiem to nie jest rekrutacja do lotnictwa, tylko odejście na przeszkolenie tych, którzy jeszcze w Polsce służyli w lotnictwie. Każdy młody zapaleniec przekonywał mnie, że jeszcze w łonie matki marzył o lotnictwie, lub też posuwał się do kłamstwa, że w Polsce skończył kursa szybow-

cowe, względnie motorowe.

Młódzież garnęła się do lotnictwa, bo chciała się bić, a docierająca już przez radio wieść o wyczynach lotników polskich we Francji i Anglii rozpałała wyobraźnię i miała siłę przyciągającą magnesu. Sztab brygady był zdumiony taką ilością kandydatów do lotnictwa i obawiał się,

abym nie zabrał z pół brygady ludzi ze sobą. Na tym tle dochodziło nieraz do komicznych sytuacji. Młody podporucznik piechoty zapewniał mnie, że zrezygnuje ze stopnia oficerskiego, byle tylko dostać się do lotnictwa i wyszkolić na pilota; jakiś ksiądz przekonywał mnie, że będzie skwapliwie zaspakajał wszystkie nasze potrzeby religijne, byle go tylko zabrać ze sobą; kiedy indziej, inżynier-górnik starał się koniecznie udowodnić, że jest inżynierem lotniczym. Całe tłumy żołnierzy stawały do raportów u swych dowódców z prośbami o przeniesienie do lotnictwa. Doszło do tego, że zabroniono żołnierzom nawet wspominać o lotnictwie.

Podkreślam ten fakt, jako znamienity i ilustrujący ducha panującego wśród naszej młodzieży żołnierskiej. Zgłaszali się tłumnie do lotnictwa, nie dlatego, że im źle było w brygadzie, przeciwnie, jedynie dlatego, że chcieli jak najszybciej zaspokoić swe pragnienie walki z nienawistnym wrogiem.

Ażeby uspokoić żołnierzy zapewniano ich, że niedaleki jest czas, kiedy brygada zostanie przeniesiona na inny, aktywniejszy teatr wojny, gdzie będzie mogła zaspokoić swą żądzę walki. Zostało to po części zrealizowane, bo w niedługi czas po naszym odejściu brygada została przeniesiona do Egiptu, przebrojona w broń angielską i przygotowana do akcji. Obecnie bierze udział w walkach.

Z początkiem września nad szedł wreszcie upragniony dzień wyjazdu. Pożegnaliśmy wojsko polskie na Wschodzie z prawdziwym żalem, albowiem czuliśmy się wśród nich dobrze, czuliśmy się zdrowi moralnie, krzepcy na duchu i owianiymi tymi samymi uczuciami co oni: miłości ojczyzny i chęci oddania się w wysiłku wojennym bez zastrzeżeń na jej usługi.

Adam Wojtyga

مباريات كيرتات في كرة القدم
 بلعب الترام بالشاطبي
 الساعة ٣:٤٥ بعد الظهر
 فرقة الطيران البريطاني ضد نادي الترام
 من الساعة ٤:١٥ بعد الظهر
 منتخب الجيش البولندي ضد منتخب الاسطول البريطاني
 بالبحر الابيض بالشرق
 وستوفر موسيقى الاسطول البريطاني خلال الحصة
 اسماء الدخول (با فيها العراب) : عسكري مخصوص ١١٥٠ صاغ - دخول عمومي ٦ صاغ

Two Grand Football Matches
 on the Tram S.C. Ground, Chatby
SATURDAY 29 MARCH 1941
 Kick off 2,45 p.m.
 A "R.A.F." Group XI
 v.
TRAM S.C.
 Kick off 4,15 p.m.
POLISH ARMY EASTERN XI
 v.
BRITISH FLEET MEDITERRANEAN XI
 By kind permission a Royal Marine Band will be in attendance
 Admission "Incl taxes": RESERVED SEATS P.T. 11,5 - GEN ENT. P.T. 6
 Egyptian Printing Office - 5, Gen. Post Office
 Program matchu footballowego między reprezentacją Brygady Karpackiej i reprezentacją Marynarki Brytyjskiej zredagowany w dwu językach: angielskim i-arabskim.

Wśród ruin i ludzi Egiptu

"Egipt", to słowo, które dla wielu z nas jeszcze rok temu pozabawione było głębszej treści. Ze szkoły pamiętaliśmy, że to kraj nad Morzem Śródziemnym, że płynie tam rzeka Nil, a nieśmiertelne dzieło Bolesława Prusa "Faraon", które każdy z nas czytał, dodało temu jakiegoś tajemniczego czaru. Kto z nas mógł marzyć o oglądaniu miejsc, po których chodzili potężni faraonowie, władcy tej ziemi piramid i tajemniczych sfinkсів.

Złym losem zagnani znaleźliśmy się tutaj. Zobaczyliśmy piękne, lecz jakby europejskie miasto Aleksandrię i w głębi duszy doznaliśmy pewnego rozczarowania. To ma być Egipt... Afryka?.. Tajemniczy świat wybudowany naszą wyobraźnią rozplynął się, ustępując miejsca rzeczywistości, może mniej tajemniczej, lecz ciekawej i bogatej w wrażenia.

Aleksandria—to nowoczesna wieża Babel, rojowisko najróżnorodniejszych ras, ludzi, języków i interesów. Patrzymy na to bujne życie portowego miasta z zaciekawieniem, zmieszaniem z pewną dozą zażenowania, takie to wszystko jakiegoś głośno, krzykliwe, beceremonialne—słowem obce naszej umysłowości i usposobieniu. Nawet Europejczycy zamieszkali tutaj stale wydają nam się jakoś inni od tych w Europie, jakby przesiąknięci tym wiatrem wiejącym z pustyni, jakąś specyficzną atmosferą tego miasta.

My Polacy jesteśmy tu przedmiotem niebywałego i niesłabnącego zainteresowania. Widocznie odcinamy się od tłumy żołnierzy angielskich, australijskich, hinduskich i jeszcze innych. Ludność tutejsza jakoś inaczej patrzy na tych przybyszów z polskim orłem na angielskiej czapce—patrzy i obserwuje. Gdzie tylko Polak się pokaże, wszędzie śledzą go jawnie lub z ukrycia ciekawe, lecz życzliwe spojrzenia. Nigdzie nie ukryjemy się przed tymi przygodnymi lecz wnikliwymi obserwatorami. Zresztą to nie tylko Arabowie

lub, jak oni wolą, Egipcjanie na nas patrzeć; obserwują nas również i Europejczycy. Dla pierwszych stanowimy jakieś stworzenia z innej, może lepszej planety, dla drugich przedmiot zdziwienia i miłego rozczarowania, a dla wszystkich razem—niespodziankę.

W tym wszystkim jednak, a przede wszystkim w tym miłym zdziwieniu jest coś drażniącego. Objaw, z którym spotkaliśmy się już niejednokrotnie, wędrując przymusowo poprzez Europę, i Małą Azję. Ludzie—i to nawet jednostki inteligentne i wykształcone—mają o Polsce jakieś dziwne wyobrażenia. Niewiadomo gdzie szukać przyczyn tego stanu rzeczy, faktem jednak jest, że dopiero wojna obecna i nasza wędrowka po świecie otworzyła wielu ludziom oczy na to, czym właściwie była i jest Polska i kim są Polacy. Bolesna to dla nas i kosztowna forma propagandy.

Jeśli więc dla przeciętnego Europejczyka do wojny obecnej słowo Polska było pustym dźwiękiem, co dopiero mówić o ludności tubylczej, pośród której tylko niewielu słyszało czy czytało

przed tym o Polsce.

Arabowie to dziwna dla nas rasa ludzi. Czyni wrażenie dużych, w gruncie rzeczy dobrych dzieci. Polak to dla nich bohater, to ten, który przeciwstawił się pierwszy potęgę niemieckiej. A lud tutejszy przede wszystkim ceni siłę i odwagę. W tym tak popularnym arabskim odezwananiu się "Polon dobra" mieści się więcej treści, niż przypuszczamy. "Dobry" to dla nich dzielny, silny, to wyraz podziwu i uznania. Doła nasza i miłość ojczyzny przemawiają do ich fantazji i wschodniej uczuciowości. Dlatego bliski im jest żołnierz polski.

Na każdym kroku spotkać się można z ich życzliwością, choć dla nas nieco zbyt natrętną usłużnością, obliczoną zresztą często na "bakszysz". Abstrahuując jednak od tej typowej dla całego wschodu żyłki interesu i "bakszyszu" uważają oni po prostu za zaszczyt dla siebie, jeśli mogą przysłużyć się w czymś Polakowi, a tym bardziej przebywać w jego towarzystwie. Ten objaw mający swe źródło w krepującym nas a nieuzasadnionym poczuciu niższości tego ludu

w stosunku do Europejczyków występuje także u wielu ludzi stojących na wysokim poziomie umysłowym i kulturalnym.

Bo poza brudnym tłumem krzykliwych obdartusów, napaściujących przechodnia natrętną prośbą o "bakszysz", istnieje także warstwa Egipcjan nieomal całkowicie europeizowanych. Nieomal—bo jest jednak jeszcze coś nieuchwytnego, co różni ich od nas. Ludzie ci, wychowani i kształceni zagranicą—przeważnie we Francji—stanowią bardzo żywotny i narodozo uświadomiony element.

Wszyscy oni bez różnicy odnoszą się do Polaków z dużą życzliwością i szacunkiem. Widzą w nas wiele (może nawet za wiele) cech dodatnich i zalet. Uważają nas za naród niepokonany, który przyczyni się do zniszczenia potęgi niemieckiej. Cenią oni nasz gest, naszą rycerskość i dobre wychowanie, rozumieją i szanują nasze smutki.

Jeszcze kilka uwag o Europejczykach w Aleksandrii.

Najlichnieszka jest tu kolonia grecka i z tej strony także Polacy spotykają się z objawami sym-

patii i życzliwym zainteresowaniem. W sklepach czy restauracjach, które zresztą zdają się być opanowane prawie wyłącznie przez Greków—Polacy są wyróżnianymi gośćmi. Grecy cenią wysoko nasze wartości żołnierskie i dumni są, że mają w nas sprzymierzeńców. Mają oni poza tym pełne zrozumienie dla tragedii, którą przechodzi obecnie cały naród polski i szerze z nami współczują.

Jak w imperium francuskim, także i tutaj—w Egipcie, ruch Niezależnych Francuzów ma bardzo wielu zwolenników. Pośród nich Polacy mają wielu prawdziwych przyjaciół, którzy bieg wypadków widzą we właściwym świetle, zdając sobie sprawę, jaką rolę spełniła Polska w obecnym konflikcie i jakie jeszcze Polaków czekają zadania.

Za przykład sympatii tego odłamu tutejszego społeczeństwa francuskiego służyć może następujące drobne lecz charakterystyczne zdarzenie, jakie niedawno miało miejsce w związku z kursującymi w Aleksandrii od dłuższego czasu pogłoskami o wyjeździe Brygady. Do grupki Polaków stojących na placu Mohamed Ali podeszła starsza pani—Francuzka, w towarzystwie męża. Upewniwszy się, że to Polacy, powiedziała: "Niech Bóg Was błogosławi i prowadzi do zwycięstwa i wolnej Ojczyzny Waszej".

Może istotnie już niedługo tu pobędziemy, może naprawdę ruszymy już niedługo w pierwszy etap drogi powrotnej—drogi wiodącej do WOLNEJ POLSKI!

Jednak wrażenia nasze i przeżycia na gościnnej ziemi egipskiej stanowią jedną z jasnych kart dziejów naszej wędrowki. W sercach naszych zabierzemy ze sobą wspomnienie słonecznej i pięknej Aleksandrii i pamięć dla tych, którzy dali nam tutaj dowody prawdziwej i bezinteresownej życzliwości. ("Ku Wolnej Polsce" z dn. 2.IV.1941.)



Burza piaskowa

Z życia obozów

"Św. Andrzej z terakoty"

Historia niniejsza nie zawiera życiorysu świętego Andrzeja z Terakoty — taki bowiem święty nie istnieje — lecz przejścia kilku "żołnierzy dobrej woli" na tle malowniczych, dekoracyjnych murów pewnego szkockiego miasteczka. Gwoli ścisłości należało by zaznaczyć, że owe perypetie nie są ani zbyt sensacyjne, ani też nie dotyczą wyłącznie owych kilku gentlemanów z napisami "Poland" na ramionach, stanowią one tylko

jedno z ogniw przyjaźni polsko-szkockiej, tak wspaniale rozwijającej się na terenie naszej brygady.

"Jędrzejów" — bo taka jest obecnie spolszczona nazwa miasta St. Andrews — zaprzyjaźnił się szybko z polskimi żołnierzami. Malownicze to, pełne tradycji miejsce, przylepione ruinami dawnej świetności do brzegu morza. Studenci chodzą tu w czerwonych togach i szerokich czarnych bire-

tach. Z każdej niemal uliczki patrzy na przechodnia dawność. Starożytne mury kolegium przysparzały niedawno również polskim żołnierzom, którym wypadki wojenne nie pozwoliły dokończyć studiów uniwersyteckich. Rektor uniwersytetu jest jak najgorętszym rzecznikiem idei zbliżenia między obu narodami, tak samo władze miejskie.

Polacy już nieraz myśleli o tym, jak odwdziżyć się za tyle różnych dowodów przyjaźni i jakby równocześnie pozostawić trwały ślad po sobie. Zwłaszcza zaś żołnierze z baonu "Bogaczy" w najserdeczniejszych pozostający stosunkach z obywatelami miasta.

Po wręczeniu swojego czasu plastycznych map St. Andrews — powstały liczne projekty na temat pozostawienia trwałej pamiątki. Z początku istniał zamiar wykonania płaskorzeźby z lipowego drzewa, przedstawiającej postać żołnierza z karabinem na placówce nad morzem, w tle miasta St. Andrews. Projekt ten potknął się jednak z miejsca o trudności w wydobyciu odpowiedniego materiału do pracy.

Okazało się, że w ogóle nie ma lipy na terenie Wielkiej Brytanii. Wtedy inna myśl przyszła do głowy niestrudzonemu projektodawcom: dowiedzieli się, że w Edynburgu istnieje na wielką skalę zorganizowany zakład betoniarstwo-rzeźbiarski. Być może, że uda się zrobić rzeźbę w betonie. Kilku żołnierzy z profesji, raczej studenci niż rzeźbiarze, wyruszyło do Edynburga. Tu oddajemy głos kronikarzowi Baonu "Bogaczy":

"Stosując przysłowie: 'Szukajcie a znajdziecie' żołnierze ci udali się do Akademii Sztuk Pięknych, gdzie prosili dyrektora i sekretarza o pomoc w wypożyczeniu narzędzi do pracy i o wskazówki artystyczne. Myszkując po wszystkich kątach gmachu Akademii natrafili w jednej z suteryn pośród rupieci na jakieś woreczki. Po bliższym poznaniu się z tymi woreczkami — okazało się, że zawierają one bezcenny materiał w postaci różnokolorowej terakoty włoskiej do wykonania mozaiki."

W ten sposób ostatecznie przyjęty został plan wykonania mozaiki, no i oczywiście, teraz dopiero jasny się staje tytuł: "Św. Andrzej z terakoty," a nie Terakoty.

Według dalszych słów kronikarza — przygody mozaikowe przedstawiają się wręcz romantycznie: "Zgodnie z przysłowiem 'szukaj kobiety,' żołnierze dowiedzieli się o istnieniu sekretarki

Akademii, która miała wpływ na profesora, którego pieczę z kolei powierzona została terakota." — Kronikarz pisze dalej, że: "Nasi żołnierze przy pomocy wspomnianej sekretarki zaatakowali profesora. Atak udał się." — Tylko za każdy funt terakoty trzeba było płacić ok. 10 szylingów.

W kronikach baonu "Bogaczy" opisane są nawet dzieje owej terakoty. Przed kilkunastu laty sprowadzono ją do Anglii wraz z włoskimi majstrami do budowy kościoła. Po ukończeniu budowy pozostało jeszcze sporo materiału, którym zaopiekował się właśnie ów profesor.

Wykonanie mozaiki było rzeczą niełatwą, jeżeli weźmiemy pod uwagę fakt, że tego rodzaju praca była pierwszą w życiu naszych domorosłych artystów oraz ze względu na brak odpowiednich narzędzi do pracy.

Po zdobyciu materiału, żołnierze-artysci opracowali plan mozaiki, po czym zamknęli się w pracowni. Praca trwała dwa miesiące.

Mozaika przedstawia żołnierza polskiego, na placówce na wybrzeżu morskim. Na drugim planie jest widoczna sylwetka patrona miasta św. Andrzeja i zabytki miasta, które nosi jego imię. Postać żołnierza jest naturalnej wielkości. U dołu tablicy widnieje napis: "Polscy żołnierze — miastu Saint Andrews."

Technika wykonania tego rodzaju mozaiki przedstawia się następująco: na grubym papierze sporządza się rysunek całej mozaiki, poczym układa się zgodnie z jego konturami odpowiednie dobrane kolorowe kamyczki i wszystko zalewa się cienką warstwą cementu, wreszcie na



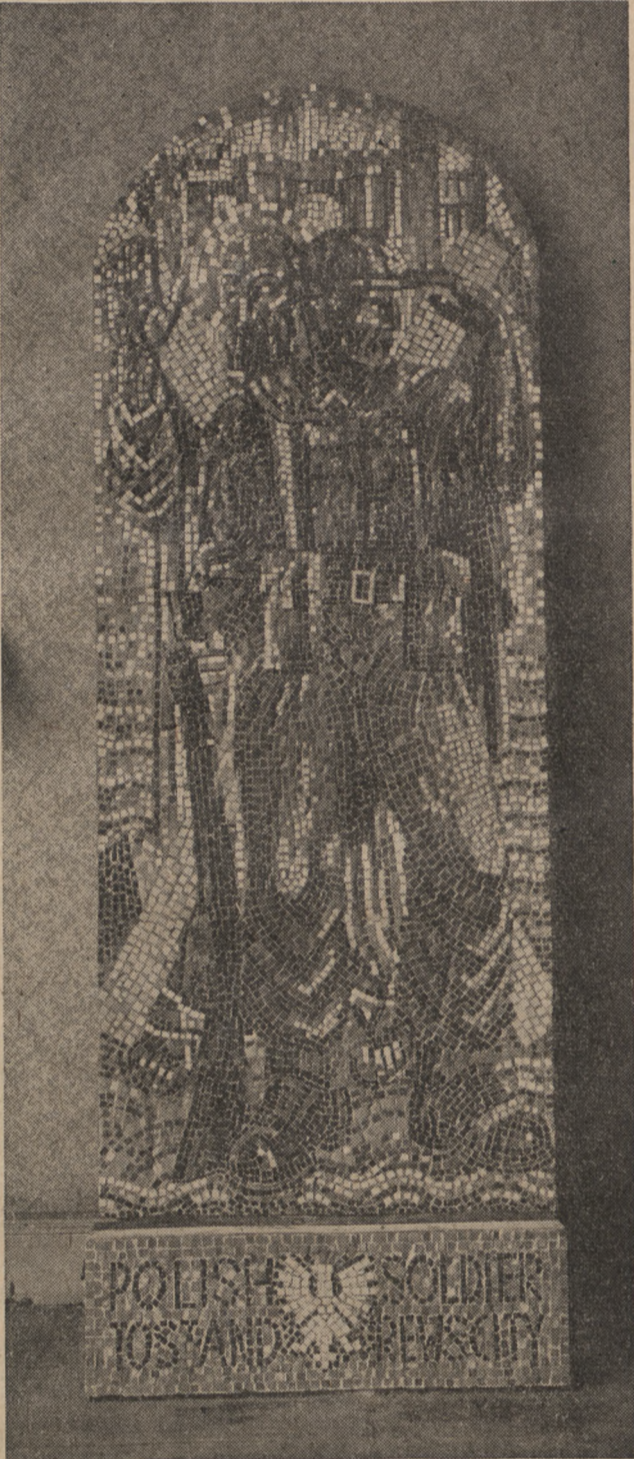
Lawnik miejski odczytuje akt erekcyjny

wszystko kładzie się siatkę drucianą. Tego rodzaju "przekładaniec" artystyczny powtarza się parokrotnie aż do osiągnięcia grubości ok. 10 centymetrów. Pozostaje jeszcze "oprawienie" całości w żelbeton.

Zdaniem profesorów Akademii Sztuk Pięknych w Edynburgu — mozaika wykonana przez polskich żołnierzy posiada duże walory artystyczne.

Dziś, wmurowana we frontową ścianę jednego z domów miejskich w St. Andrews zdobi miasto, a w przyszłości przypominać będzie stałe o więzach przyjaźni między obu narodami.

Jan Lachowicz



Burmistrz miasta przejmuje mozaikę

Żołnierze — studenci

Sale wykładowe uniwersytetów w St. Andrews i Dundee zaroily się od mundurów polskich. Po "inwazji" na Szkocję nastąpiła inwazja na wyższe uczelnie. Przeszło setka żołnierzy uzyskała — dzięki przyjacielskiej inicjatywie przewodniczącego "St. Andrews University Regional Committee for Adult Education" prof. Wrighta i dzięki zrozu-

mieniu ważności sprawy przez władze wojskowe — możliwość rozpoczęcia, dalszego prowadzenia lub nawet ukończenia studiów, przerywanych wskutek wybuchu wojny. Oczywiście nie można było "odkómenderować" na Uniwersytet kilkuset kandydatów. Setka szczęśliwców studiuje dzisiaj na obu uniwersytetach prawo, ekonomię, nauki

polityczne, humanistykę, technikę, chemię, matematykę, historię, filologię.

Nie wiadomo, jak długo będą mogły trwać te studia, gdyż jest to ściśle związane z potrzebami wojska. Z tym większą więc energią nasi studenci zabrali się do pracy a profesory chwali ich pilność, inteligencję i szybko orientację. Każdą wolną chwilę po wykładach studenci-żołnierze poświęcają pracy w bibliotekach a władze uniwersyteckie udzielają im wszelkiej pomocy. Czasami w bibliotece widzi się zaledwie kilku studentów szkockich a kilkudziesięciu Polaków. Świadczy to o poważnym ustosunkowaniu się polskich żołnierzy do studiów a doceniają to w całej pełni profesory, dopuszczając polskich słuchaczy i do tych źródeł naukowych, które normalnie są dostępne tylko dla profesorów.

Tak więc po Edynburgu, gdzie tak pięknie rozwija się polski wydział medyczny, "zdo-byli" Polacy jeszcze dwie wyższe uczelnie szkockie.



Grupa studentów Polaków na dziedzińcu uniwersytetu w St. Andrews.

Na góralską nutę

OJCYZNA

Tako tu jesień, jak u nos Zaduski;
Niebo ciągiem płace dyscu strugami,
A wiatr jęcy, kieby ten głos ludzki
I tazi jak dusa szkockimi wrzosami.

Góry obtargane, jako dziad w loktusy
Dziurawą mgłą kryją ze wstydu ciało,
Ni mają, jak nase w sobie pokusy,
Nikt ino owca chodzi po nich śmiało.

Nie dziw sie Hanuś moi tęsknocie,
Zem sie miłował w nasy, polski stocie
A w tej haw dlo sie nic znaleźć nie moge.

Bo zebys przesed świat, ka nojsyrsy jes
Łaząc, Hanuś, w tęsknicy — dopiro wis,
Ino kajś sie ulągł jest sercu drogic.

TO NIE NASE

Patrze haw z grani
Ku nasemu słońku
Przez dysc, co pyrsi
Ciągiem bez przestonku,
I casem mi sie widzi
Ze Giewont sie wstydzi,
We mgle szkocki sie chowo.
Pod mgłą gęstą głęboko
Kieby Morskie Oko
Cosik do mnie septo i godo...
A choć z ptokami se gwarze
I znom sie na holnym sumie
Tej wody nic nie rozumiem.

Hej bo nie Giewont i Morskie
Widze w te dysce szkockie
I nie to z cem by dusa gwarzyć
była rada.

Ale kiedyś w jesieni
Kiej sie wszystko odmieni
I Bóg nasyk grani pozwoli,
Bede go prosil z cały moi dusy,
By mi u wos zostac na zawse
zezwolit.

Józef Wieszczyk

W. Br.

